

KOLEJNA PODZIEMNA TAJEMNICA AMERYKI

Są takie miejsca, w których nawet gdy posiada się stu procentową pewność, że w promieniu kilku kilometrów nie ma żywej duszy i tak odnosi się wrażenie jakby było się przez kogoś obserwowanym. Do takich miejsc na pewno należała także Golgotha, owiane złą sławą cmentarzysko leżące kilkadziesiąt kilometrów na południe od New Reno. Śniło się ono zapewne wielu mieszkańcom tego wyjątego z pod prawa miasteczka w najgorszych koszmarach. Tu trafiali wszyscy "niewygodni", którzy w jakiś sposób narazili się co bardziej wpływowym osobnikom.

Umrzeć tu to zostać zapomnianym na wieki, pomyślał Vincent. No i o ile nie spłynie na niego za moment żadna łaska przyjdzie mu podzielić los pozostałych zakopanych. Będzie miał teraz doborowe towarzystwo. W końcu na pewno większość z tu "obecnych" było za życia mordercami, złodziejami, gwałcicielami, czy też innymi ludźmi o nie do końca anielskich życiorysach.

- Kop, Vince - odezwał się Paulie, jeden z dwóch ludzi wyznaczonych przez Jesusa Mordino do pozbycia się niewygodnego balastu jakim był Vincent.

- No co tak się gapisz? Kop - powiedział drugi z nich, Jose.

Do spełnienia ich prośby przekonał Vince'a przede wszystkim jeden argument, a mianowicie wycelowana w jego plecy dubeltówka. Chwytał za łopatę i bez przesadnego entuzjazmu zaczął kopać dół, w którym już nie długo miało przyjść mu spocząć na wieki. No, przynajmniej do czasu kiedy zupełnie nie zjedzą go robaki, o ile tu w ogóle jakieś żyją. Pewnie tak, jakieś wielkie zmutowane genetycznie dżdżownice.

Swoją drogą to ciekawe czemu w obliczu śmierci, kiedy ofiara i tak wie, że gdy tylko skończy kopać zostanie zabita, daje się jeszcze wrobić w tę harówkę. Skoro przed śmiercią nie ma ucieczki, to może po prostu lepiej powiedzieć "pocałujcie mnie w dupę i sami sobie kopcie". Może, ale taki człowiek chyba aż do końca ma cień nadziei, że uda mu się jednak przeżyć. Tak samo i teraz taki płomyk tlił się jeszcze w podświadomości Vince'a.

Paulie i Jose usiedli dwa metry za Vincentem i przyglądali się jego pracy.

- Widzisz, Vince i po co ci to było? - odezwał się Jose - Byłeś przecież tak dobrym pracownikiem, zarobiłeś dla szefa tyle kasy, ale... No właśnie, wszystko przez to małe "ale". Za mało ci płacił, czy jak? Po cholere urabiałeś go za jego plecami. Myślałeś, że nie wyjdzie nigdy na jaw, że podpieprzałeś drobne prowizje z każdej kasy, która przeznaczona była dla Big Jesusa? Heh, no i kolejny dobry pracownik przez swoją głupotę musi zasilić "reprezentację" Golgothy.

- Kop, kop - ponaglił Paulie - Chciałbym jeszcze zdążyć wrócić do Reno na niedzielną walkę bokerską.

- A kto boksuje w tym tygodniu?

- Jacyś przyjezdni leszcze, ale podobno są nieźli...

Przez ostatnią godzinę, a może i dłużej, Vince wykopał już spory dół. Niestety pracy nie ułatwiali mu Jose z Pauliem. I nie chodziło już nawet o to, że nie zdecydowali się mu pomóc, bo to akurat nie było specjalnym zaskoczeniem. Najgorsze były te ich ploty. Nawijali praktycznie non stop. Momentami Vince miał wrażenie, że ma do czynienia z parą plotkarek, a nie facetami od mokrej roboty pracującymi dla rodziny Mordino.

- ... podobno Angela Bishop jest w ciąży - tu Jose zaśmiał się krótko - Stary John nie wie nawet kto zrobił jej tego dzieciaka.

- Nic dziwnego zresztą - stwierdził Paulie i pociągnął z butelki kilka łyków piwa - Ta mała puszcza się z każdym kolesiem, który się nawinie.

- Po Jet'cie chyba większości jest już wszystko jedno gdzie i z kim. Daje kopa, nie da się zaprzeczyć.

Gdyby Vincent był choć odrobinę odważniejszy mógłby po prostu teraz odwrócić się na pięcie i zatłuc obydwu zajętych rozmową bałwanów. No ale chyba jednak sama odwaga by nie wystarczyła. On chyba nie byłby nigdy w stanie nikogo zamordować. Niestety, dla nich zabijanie było chlebem powszednim. Głuchy, metaliczny dźwięk przerwał jego rozmyślenia. Najwyraźniej jego łopata trafiła na jakiś metalowy przedmiot. Czyżby kopał w miejscu, w którym kiedyś już kogoś pochowano?

Uderzył łopatą jeszcze raz kilkadziesiąt centymetrów dalej. Ten sam odgłos metalu uderzającego o metal. He he, na koniec swojego marnego życia wykopał skarb. No bo co by to mogło być jak nie skrzynia.

- No co stanąłeś? Kop - odezwał się Jose.

- Nie mogę, trafiłem na coś zakopanego pod ziemią.

- To znaczy na co? - chciał wiedzieć Jose.

Vince wzruszył ramionami - Nie mam pojęcia, chyba jakąś skrzynię.

Obydwaj oprawcy momentalnie się ożywili, jakby zwietrzyli jakąś zdobycz.

- To wykopuj to - powiedział Paulie i poderwał się z ziemi - Ty, może to jakaś amunicja, albo broń. Ludzie Bishopa też pewnie tu przychodzą i cholera wie co mogliby zakopać.

Jak się jednak już chwilę potem okazało wcale nie mieli do czynienia ze skrzynią.

- Co to ma być? - zapytał Paulie.

- Jakiś właz - wysunął teorię Jose.

- Ale do czego?

- A bo ja wiem. Może do jednego z tych legendarnych bunkrów.

- Do krypty? No co ty, na pewno nie.

- No to nie wiem.

- Poza tym ktoś musiał to zasypać już jakiś czas temu, pewnie z parędziesiąt lat. Ciekawe czy dało by radę otworzyć.

Jose wyraźnie miał zamiar się sam o tym przekonać. Chwycił za metalową rączkę i szarpnął z całej siły. Jednak nic z tego, kłapa ani drgnęła.

- Pomóż mi - syknął.

Paulie złapał obok i razem spróbowali sobie z tym poradzić. I tym razem im się nie udało, ale płyta jakby wreszcie drgnęła.

- Vincent łap z nami i ciągnij z całej siły - nakazał Jose.

W końcu w trójkę, wypruwając z siebie flaki zdołali oderwać kłapę, potem poszło już gładko.

- Przepuklina gwarantowana - stęknął Paulie.

- Nie marudź, patrz! - odezwał się Jose.

Za kłapą znajdowała się krótka drabinka, prowadząca wprost do jakiegoś ciemnego korytarza.

- Ja cię nie mogę, co to? - zapytał Paulie.

- Nie mam pojęcia. Masz latarkę?

Paulie skinął głową i wyciągnął latarkę z plecaka. Następnie wręczył ją Jose'mu. Ten poświecił w głąb tunelu, nie wiele jednak mógł zobaczyć z tej perspektywy.

- Ale jaja - powiedział - Może by tam zjeść i zobaczyć co to?

- No nie wiem - powiedział Paulie - A co z eliminacją Vincenta?

- Może poczekać - powiedział Jose - Na razie przydać się może jako mięso armatnie.

- Co masz na myśli?

- No puścimy go przodem, jakby co to on oberwie, a my zdążymy uciec. No dalej, złazimy.

- Eh, no dobra. Słyszałeś, Vince, złaż na dół.

No i jakież Vincent miał wybór. Niewielki, zdecydował jednak wykonać i to polecenie. Zgramolił się po drabince prosto w dół. Zaraz za nim podreptali Jose z Pauliem. Ten drugi nie spuszczał go z celownika, pierwszy oświetlał drogę latarką. Korytarz był dosyć wąski i bez wątpienia nie krótszy jak kilkadziesiąt metrów. Vince nieco zdezorientowany tą sytuacją szedł przed siebie nawet nie starając się zastanawiać co to za miejsce.

- No dalej, dalej - poganiał z tyłu Paulie.

Kilkanaście metrów dalej natknęli się na jakieś potężnie wyglądające, stalowe drzwi. Podobne do tych jakie Vincent widywał w Vault 8, należącej do Vault City, w którym to też się urodził i mieszkał do dziewiętnastego roku życia. Te spostrzeżenia jednak zachował dla siebie, niby w końcu dlaczego miałby się zwierzać dwóm koleśiom, którzy planują posłać go do piachu? Z resztą to raczej nie była jakaś inna krypta, przynajmniej Vince'owi tak się wydawało.

- No i kupa - mruknął Paulie - Koniec wyprawy.

Jose jednak nie miał zamiaru od razu wracać, nie spróbował jakoś przedostać się dalej. Rozejrzał się uważnie oświetlając drzwi i ich okolice latarką. W końcu dostrzegł zamontowany tuż przy nich malutki komputer. Vincent od początku wiedział gdzie on się znajduje, wiedział także jak on działa i do czego może posłużyć. W gwoli ścisłości: może nie wiedział, ale był prawie pewny bazując na swoich doświadczeniach z Vault City.

- Może jakoś tym dziadostwem się da? - zapytał, chyba sam siebie, Jose.

- Nie wiem, nie znam się na elektronice - wyznał Paulie.

Wtedy Vince doszedł do wniosku, że jeżeli ci dwaj jego przyszli oprawcy drzwi otworzyć nie zdołają, na pewno zdecydują się wrócić, każą wykopać mu kolejny dół i zrobią to co już dawno planowali. Jeśli jednak powie im jak skorzystać z terminala to być może opóźni nieco swoją egzekucję. W prawdzie co się odwlecze to nie uciecze, ale do końca pozostaje jakaś nadzieja...

- Ja potrafię je otworzyć - odezwał się niepewnym głosem. Zabrzmiał teraz jakby od kilku godzin nie miał w ustach niczego do picia. No proszę, co za zbieg okoliczności, przecież dokładnie tak było!

Obydwaj spojrzeli na niego nieco zaskoczeni.

- No proszę, nasz "mózg" się odezwał - prychnął Paulie - No ale otwieraj, "mistrzu".

Vince miał teraz tylko nadzieję, że to stare żelastwo nadal działa, jeśli nie, może zapomnieć o tych dodatkowych minutach życia, które mógłby zyskać. Ku jego satysfakcji

terminal zadziałał poprawnie i drzwi z dosyć nietypowym hałasem podniosły się do góry otwierając całej trójce drogę do dosyć obszernego pomieszczenia. Nim Jose zdecydował się wejść do środka, czy nawet postać na zwiady Vince'a, poświecił do środka latarką. W centrum stał jakiś potężny komputer, przypominający sporych wielkości regał zbudowany z procesorów. Przy ścianach natomiast rozstawione były stalowe szafki. Jedna z nich była otwarta na oścież, a w środku... o ile wzrok Jose'go nie mylił... To mu wyglądało na miotacz ognia. Ba, wyglądało na to, że jest w nienajgorszej kondycji. Logika podpowiadała, że pozostałych szafkach także mogą znajdować się różne cudeńka. Zwabiony tym widokiem niczym mysz żółtym serem, Jose wszedł do środka i podbiegł do pierwszej z brzegu szafki. Otworzył ją (nie była zamknięta na zamek) i...

- Paulie, chodź tu! - krzyknął - Ale czad!

Paulie popychając Vince'a lufą od strzelby wszedł do środka i podszedł do swojego kolegi. Szafka, przy której stali po brzegi wypełniona była różnego rodzaju amunicją.

- Jak myślisz, co to za miejsce? - zapytał podekscytowanym głosem Paulie.

- Bo ja wiem. Może jakiś stary magazyn wojskowy. Co za różnica.

Otworzył kolejną szafkę, tu znajdowało się sporo pistoletów energetycznych.

- Tak czy siak to wszystko tu jest warte kupę kasy.

- Mordino da nam za to premię - powiedział zadowolony Paulie.

- Ale za nim mu o tym powiemy zabierzemy ze sobą tyle sprzętu ile zdołamy unieść.

- Po co?

- Skąd on ma niby wiedzieć ile tu tego było? Weźmy sobie trochę i opylimy za jego plecami. To jak podwójna premia, a może nawet potrójna. - powiedział Jose.

- Jeden taki co próbował urabiać Mordino jest tutaj z nami - burknął Paulie.

- E tam, on urabiał go regularnie, a my tylko raz. Tak na dobrą sprawę to wcale nawet nie musielibyśmy mu o tym mówić, więc to i tak nasza dobra wola. O to mój plan: pakujemy do plecaków tyle sprzętu ile się da, tymczasowo zasypujemy ten właz, rozwalamy Vincenta i wracamy do Reno z dobrą wiadomością.

- Ok, niech będzie - zgodził się Paulie.

Jose zadowolony pokiwał głową - Ja będę pakował a ty pilnuj pana "sprytnego". Tu jest tyle broni, że lepiej nie spuszczać go z oka.

Jak już miałbym wykorzystać tę sytuację, pomyślał Vince, to po prostu wybiegłbym na zewnątrz i zamknął ich tam w środku. Potem nastawił na terminalu godzinę o której drzwi otworzyć mają się ponownie i prysnął gdzieś daleko, najlepiej z powrotem do Vault City. Tak,

tam przynajmniej czułby się bezpieczny. Papiery obywatela miasta zostały w prawdzie w jego biurze w New Reno (a tam wolałby nie wracać), ale przecież w końcu na miejscu jest w stanie potwierdzić swoją tożsamość, a i nikt też chyba w VC nie wie o jego współpracy z organizacjami przestępczymi z Reno.

Pewnie nawet zrobiłby dokładnie tak jak właśnie sobie to obmyślił, ale niestety Paulie nie spuszczał go z oka, a co gorsza z muszki.

Obsesyjne wręcz napełnianie plecaków magazynkami i bronią przerwał Jose'mu dźwięk dobiegający z centralnej części tej sali, a dokładniej ujmując z komputera.

- Dzień dobry - rozległ się głos - Proszę o identyfikację.

Lekko przestraszeni w pierwszej chwili Paulie i Jose odetchnęli z ulgą. To tylko komputer...

- Proszę o identyfikację - powtórzył komputer. - Pozostaje 10 sekund do potwierdzenia tożsamości i uprawnień do przebywania na terenie magazynu. Obydwaj, na razie niedoszli, egzekutorzy Vince'a zupełnie olali prośby komputera. Żaden z nich nie miał zamiaru zwracać uwagi na ten cały elektroniczny bełkot. Dopiero, gdy po upływie limitu czasu drzwi, którymi się tu dostali zamknęły się z trzaskiem, zamarli.

- Co jest? - zapytał Jose.

- Ostaną szansą na identyfikację - odezwał się komputer - W przypadku nie podania odpowiednich danych rozpocznę proces likwidacji. W świadomość całej trójki zaczynał się wdzierać pewien niepokój.

- O co tu chodzi? - odezwał się Paulie.

- Ostateczny limit czasu upłynął - rozległ się głos komputera. - Rozpoczynam proces likwidacji jednostek nieupoważnionych.

Wtedy ciało Jose'go przeszło szereg silnych skurczy. Został porażony prądem. Wydarł się w niebogłosy i zaczął trząść się niczym mokry pies otrzepujący się z wody. Wszystko to trwało zaledwie pięć sekund. Potem Jose padł plackiem na ziemię. Jego ciało jeszcze trochę podrygiwało, ale on bez wątpienia był już martwy.

Przerażony tym widokiem Paulie rozdziawił szeroko usta i niczym sparaliżowany stał i wpatrywał się w martwe ciało Jose'go.

Wtedy za jego plecami rozległ się metaliczny odgłos. Paulie odwrócił się na pięcie i dostrzegł przymocowane do ściany i celujące w niego dwie lufy. Zaraz potem seria strzałów maszynowych postąpiła go na podłogę. Wokół niego powstała rozległa kałuża krwi.

Vincent skulił się i schował twarz w dłonie oczekując najgorszego, ale nic więcej drastycznego się już nie działo.

- Witam generale Dixon - odezwał się komputer.

Vince powoli opuścił ręce i niepewnie rozejrzał się po sali. Czyżby nic nie miało zamiaru go zabić?

- Witam generale Dixon - powtórzył komputer.

Vincent spojrzął na niego otępiąłym wzrokiem - Mówisz do mnie.

- Oczywiście generale Dixon.

Vince oczywiście nigdy w życiu nie był generałem, ani też nie nazywał się Dixon. Nie miał pojęcia dlaczego ten cybernetyczny twór za takowego go ma, ale zwęszył w tej pomyłce swoją szansę na przeżycie.

- Witam. - powiedział.

- W czym mogę służyć generale? - zapytał komputer.

- Ja... - Vince zastanowił się chwilę - Chciałbym stąd wyjść...

- Oczywiście, generale Dixon.

Zaraz potem drzwi otworzyły się ponownie. Vince pełen niepewności i obaw, nie dowierzając temu co miał tu miejsce, powoli opuścił salę. Gdy tylko był na zewnątrz rzucił się biegiem wzdłuż korytarza. Dopadł drabinki i wdrapał się na powierzchnię. Mimo dużego zmęczenia zaczął biec przed siebie. Zatrzymał się dopiero kilkaset metrów dalej gdy już zupełnie opadł z sił...

© Adam 'EFC Turczak - 15 czerwca 2002